

Wiech  
Opowiadania przedwojenne

Tom XII  
Kusicielka w opałach



# Wiech

Stefan Wiechecki

## Kusicielka w opałach

czyli  
opowiadania sądowe

Zebrał i opracował  
Robert Stiller

vis-à-vis  
*etiuda*

Kraków 2023

Mniej znane realia i wyrażenia  
objaśniono w słowniczku na stronach 211–220

*Wolę książkę, która ma niepoważne zamierzenia i poważne osiągnięcia, od dzieł, które mają poważne zamierzenia i nie-poważne osiągnięcia.*

Antoni Słonimski

*Uważam Wiecha za jednego z najlepszych polskich pisarzy współczesnych, niewyczerpanego w pomysłach i zajmującego wyjątkową postawę moralną. O Wiechu można nawet powiedzieć, że jest wielkim filozofem.*

Michał Choromański

*Wiech to gentleman, szalenie dowcipny, nigdy jadowity, często wzruszający. Jego felietony są wynikiem obserwacji bardzo uważnej, pracy w swoim rodzaju całkiem twórczej i na wskroś oryginalnej.*

Maria Jasnorzewska



## *Fruwająca kobieta*

Ceniony i znany w szerokich kołach kolombofil warszawski, pan Marian Gagaszek, stanął przed sądem grodzkim pod nieprzyjemnym zarzutem pobicia swej sąsiadki, pani Teofili Miglasińskiej, przy użyciu tyki do płoszenia gołębi.

Ostatecznie nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego. Takie rzeczy zdarzają się niestety nie tylko gołębiarzom.

Oryginalność tego procesu polegała na tym, że pan Marian wystąpił w obronie swych gołębi, pomawianych przez panią Miglasińską o roznoszenie pluskiew.

– Panie Maniuś – powiedziała kiedyś pani Miglasińska przez swoje okno na facjacie do pana Gagaszka, tkwiącego na dachu i pracowicie oblatującego swych wychowanków – zabierz pan do cholery stąd tych gołębi, bo jem kiedy skrzydła poprzetrącam.

– Zaraz, zaraz, wolnego, pani Miglasińska, nie tak ostro, żeby tu czasem paniusi kto czego nie przetrącił! Przede wszystkim powiedz pani, jakom pretensję pani do ptaków wnosisz? O co się rozchodzi?

– Raz o to, że szyby mnie zanieczyszczają, tak że nic przez nich nie widać.

– To detaliczna rzecz! Kto tu z dachu będzie na pani dziobate urode patrzył... kominiarz? Żeby pulpetacji serca dostał i na zбитy łeb zleciał na dół?

– Szczeknij pan jeszcze jedno takie słowo, to tak przyfonduje pogrzebaczem, że nie kominiarz, ale pan zjedziesz z dachu na podwórko!

– Pani Miglasińska, żeby nie to, że nie chce pani kwiatków z okien pozdrucać, już byś pani po mieszkaniu fruwała, tak bym panią szanowną tą tyką przemiesiąła! Ale mniejsza o to, powiedz pani, co jeszcze masz gołębiom do zarzucenia.

– To, że pluskwy roznoszą.

Pan Maniś zamarł na chwilę ze zgrozy, a potem zapytał przejmującym szeptem:

– Coś pani powiedziała? Kto pluskwy roznosi? Moje gołębie?! Ach ty makolągwo z facyjaty, ja ci pokażę wystawową hodowlę znieważać! Ja cie nauczę szaconku dla kawalerów orderów!

Istotnie kilka wspaniałych okazów, wyprodukowanych przez pana Gagaszka, zdobyło w ubiegłym roku najwyższe odznaczenia Grand Prix na placu Kercelego.

Nic tedy dziwnego, że dotknięty usłyszonym bluźnierstwem pan Maniś podbiegł do okna sąsiadki i zaczął ją oblatywać po mieszkaniu. Pani Miglasińska broniła się z początku pogrzebaczem, ale w chwilę później, podcinana tyką, istotnie zaczęła fruwać między swymi meblami jak najlepszy angielski krymek.

Kres tym ćwiczeniom położyli wreszcie nadbiegli sąsiedzi.

We właściwym czasie honorowy hodowca stanął przed sądem grodzkim i ze zdumieniem usłyszał wyrok skazujący go na tydzień aresztu.

– Za co, wysoki sędzie? Czy ja miałem panią Miglasińskie pogłaskać, jak mnie tak fatalnie znieważała?

– Ostatecznie nie miał się pan o co tak bardzo obrażać. Że gołębie roznoszą pluskwy, to jest rzecz notorycznie znana. Gazety już o tym piszą.

– Owszem, gazety piszą. Ale o zwyczajnych ulicznych kokach, nie o egipskich nywkach! Nie o szpancerach z białym ogonem, nie o weszwanach koroniatych. A to jest poważna różnica, proszę szanownego wymiaru!

Tu pan Maniś zimno skłonił się sądowi i wyszedł, obrażony zdaje się po raz drugi.



## *Teściowa na bilardzie*

Pan Aleksander Szutkowski, najlepszy kelner popularnej cukierni warszawskiej, nazywany przez stałych bywalców po prostu panem Olesiem, wiele wie o swoich gościach, etyka zawodowa mówić mu jednak o tym nie pozwala. Toteż sędzia grodzki musiał użyć całej powagi swego stanowiska, by wydobyc z pana Olesia zeznanie w sprawie zajścia, jakie miało miejsce w cukierni między cenionym bilardzistą, panem Wacławem Jędrasikiem, a jego żoną oraz teściową.

– O gościach nie lubię mówić, proszę wysokiej procedury, ale skoro jeżeli szanowna instytucja pod paragrafem mnie do tego zmusza, zaznaczę, co mnie jest wiadomo.

Najnieszcześniejsze goście to żonaci. Mam jednego takiego dzień w dzień na sali, co od rana do pół do drugiej siedzi przy stoliku, potem zrywa się i klusem leci do domu. Zapytałem go się raz przez ciekawość, dlaczego się tak spieszy, to mnie odpowiedział, że musi przylecieć do domu zmęczony, żeby żona myślała, że tak się za interesami naganiał, w przeciwnym razie obiadu mu nie daje.

– Co świadek tu opowiada za historyjki! Proszę mówić o zajściu na bilardzie.

– A na bilardzie to było z kim innym, ale także samo z żonatem.

Detalicznie to tak się rzecz miała. Pan Jędrasik, nasz stały gość, rozgrywał właśnie partyjki, kiedy widzę, że do bilardowego pokoju pcha się jakaś starsza pani.

Stała na progu i mruga na pana Jędrasika.

Pan Jędrasik, jak ją zobaczył, szczerwienił się cały, ale nic nie mówi, tylko do kija się przykłada, żeby dubla do rogu zasunąć.

Wtenczas ta starsza osoba podchodzi do bilardu i mówi, żeby pan Jędrasik zaraz leciał do domu, bo jakieś dziecko z głodu kona.

A pan Jędrasik nic, tylko robi dubla. Wtenczas ta dana osoba z pyskiem do gościa, że po bilardach się włóczy, zdrowie

z łobuzami traci, konającego dziecka nie pilnuje, że ona w ogóle nie rozumie, jak mogła córkie za takiego łajdaka wydać.

A Pan Jędrasik nic, tylko nową piramidkę każe szykować.

No to ma się rozumieć ta pani starsza złapała z wieszaka „Kino” na bambusie i trzask pana Jędrasika w głowę. On się na to odwrócił i grubszym końcem kija bilardowego sztuknął te panią w klatkę piersiową. Ona krzyknęła bardzo wzruszająco i patrzeć, z sali nadlatuje z głodu konające dziecko, czyli ta jej córka, którą żałuje, że za pana Jędrasika wydała.

Dopiero jak we dwie z tem umierającym dzieckiem zaczęli pana Jędrasika kołować, ledwie z życiem przez kuchnię uciekli i dwie tace tortowych na marmoladę nam pogniótli.

Nic więcej nie wiem.

Jakkolwiek zeznanie pana Olesia przynosiło zaszczyt jego lojalności dla stałych bywalców, sędzia oparł wyrok na obdukcji lekarskiej, która stwierdziła u teściowej pana Jędrasika liczne sińce i zdercia naskórka, i skazał nerwowego bilardzistę na tydzień aresztu.

## *Gorzko w ustach*

Pan Jan Kanty Żeberko stanął przed sądem pod normalnym zarzutem pobicia swej ślubnej małżonki, ale za to z przyczyn niezupełnie naturalnych. Bo jeśli mąż bije żonę dla zaspokojenia potrzeby serca, lub też w odpowiedzi na jej wyzywające zachowanie się, to jest rzecz całkiem zwykłą, ale maltretowanie kogoś za to, że lubi orzechy, każdy uznać musi za objaw sadyzmu.

Łatwo sobie też wyobrazić, jakim okiem patrzyły na podsądnego zebrane w sądzie panie.

Nawet przywykły do widoku różnych zbrodniarzy oskarżyciel publiczny, przodownik policji, odwracał się odeń z niesmakiem.

Trwało to jednak tylko do chwili, kiedy pan Żeberko wygłosił następujące przemówienie w obronie własnej:

– Wysoka obdukcjo! Płakać mnie się chce nad swoim własnym losem. To nie ja za oskarżonego powinienem tu stoić i cierpienia doświadczać, ja, który na czterech palcach nożnych odciski posiadam i świąteczne kamasze mnie gnietą, ale ta dana moja żona Sabina Żeberko, która nogi ma zdrowe i całe te sprawe uskuteczniła przez zamiłowanie do towarów kolonialnych.

Żona moja orzechy lubi jak rzadko. Po całych dniach mogłaby je spożywać. A ja znowuż jestem człowiekiem nerwowym i nie mogie słuchać, jak skorupki trzaskają. W taki sposób prosze ją w pierwsze święto jak kogo dobrego: „Sabcia, kochanie ty moje, idź na złamaną ulicę z temy orzechamy, bo mnie już głowa rozboliała i w ustach mam gorzko, a w mieszkaniu wytrzymać nie można.”

A ona nic, tylko tłucze orzechy dalej.

Źle, myślę sobie, trzeba na to jakoś zaradzić. No i ma się rozumieć schowałem dziadka.

Ale czy wysoka obdukcja myśli, że przestała? Gdzie tam. Zębamy zaczęła rozgryzać z jeszcze większym trzaskiem. Na złość bez całej noc przy stole siedziała i orzechy między zębami rozduszała. A który drań pękł, to aż mnie nerwy na pół metra w górę na pościeli podrzucali.

O piątej rano nie wytrzymałem. Wstałem i sztuknąłem ją dwa razy w ciemie. To wszystko i takim prawem nie rozumie, o co się właściwie wysokiej obdukcji rozchodzi.

Sędzia wyjaśnił panu Żeberce, że Rzeczpospolita ma żal do niego właśnie o te gesty. Powinien był raczej wpłynąć na żonę, gryzącą orzechy, argumentami słownymi, unikając od-ruchów. Ponieważ nie uczynił tego, ponieważ uderzenia w ciemie były załatwione za pomocą bambusowego stoliczka, musi posiedzieć trzy dni w areszcie.

Pani Żebarkowa zapytana, czy gotowa by przebaczyć mężowi, odpowiedziała, że owszem; ale oparł się temu skazaniec, który oświadczył, że chętnie posiedzi trzy dni w spo-

koju, mając nadzieję, że małżonka z nudów spożyje przez ten czas zapas orzechów pozostały ze świąt.

Życzeniu jego stanie się zadość.

## *Święto ojca*

Panowie Stanisław Przerębela i Aleksander Rybicki siedzieli przy stoliku w zacisznym lokalu „Pod Wenusem” przy ul. Stawki i w słowach pełnych goryczy komentowali upośledzenie ojców w Polsce.

– Święto matki jest, święto lasu jest, święto grzybów jest, nawet kanarki mają swoje uroczystość, a co ma ojciec?

– Gównno!

– Tak jest! Stasiu, masz racje, ale się nie wyrażaj. I dlaczego tak się dzieje, dlaczego za tem biednym ojcem nikt się już nie upomni? Co robi sejm? Dlaczego rząd milczy?!

– N-n-n-nie wiem!

– Ja także samo nie wiem! I nikt, bracie, nie wie! Ostatecznie, tak między nami mówiąc, czym matka jest lepsza od ojca? Że dziecko karmi? No bo ma fizyczne warunki pod tem względem! Jakbyś ty, Oleś, miał czym, tobyś nie karmił? Karmiłbyś, jak cię znam, karmiłbyś!

– Widzisz, Stasiu, jak się karmi... mleko trzeba pić...

– Co ty mówisz?

– Jak cię kocham... i bawarkie.

– A co to jest?

– Herbatka cholera z mleczkiem. Tego już bym mógł nie wytrzymać.

– No faktycznie, trzeba się do takiej konsumpcji mocno przyzwyczajać. Ale ostatecznie za same spożycie nabiału jeszcze święto się nie należy. A o wiele się należy, to i ojciec powinien go mieć. Kto na całe rodzinie pracuje?

– Ojciec.

– Kto się o kartofle na zime stara?

– Tatus.  
– Kto po mordzie otrzymuje, jak późno wróci do domu?  
– Wiadomo!  
– No to jest chyba jasne, że święto ojca musi być i będzie!  
– Ale kiedy?  
– Dzisiaj!  
– A którego dzisiaj mamy?  
– Mniejsza o to, dowiemy się jutro, a teraz daj Oleś pyska, powienszuj mnie i krzyknij jeszcze butelkie.

Panowie uściskali się serdecznie, złożyli sobie okolicznościowe gratulacje i jako dwaj bohaterowie Dnia Ojca z zapalem zajęli się trunkami.

Uroczystość przeciągnęła się daleko poza północ. Kawiarnia od frontu była już zamknięta i dlatego obaj laureaci zostali wypuszczeni tylnym wyjściem na podwórze.

Szczególny traf zrządził, że w suterenach tej samej posesji mieszczą się zakłady graficzne pana Arona Wodociąga, gdzie w pośpiesznym tempie kończono druk kalendarzy na rok 1938.

Korzystając z niezwyklej okazji panowie Przerębel i Rybicki zażądali wstrzymania maszyn i uwidocznienia w kalendarzach świeżo ustanowionego święta. Ponieważ natrafili na opór, zmuszeni byli wejść do drukarni, a że dla pośpiechu wchodzili oknem, nic dziwnego, że wyrócili kasztę z czcionkami oraz poważnie uszkodzili linotyp.

W związku z tymi czynami oczekuje ich sprawa w sądzie starościńskim. Przypuszczać należy, iż sędzia, o ile oczywiście będzie człowiekiem rodzinnym, wejrzy w szlachetne pobudki inicjatorów święta pokrzywdzonego dotąd ojca i wyda wyrok możliwie łagodny.

## *Płomienna miłość*

Najpiękniejsze kobiety Marymontu ubiegają się od dawna o serce i względy perły tamtejszej złotej młodzieży, pana

Wacława Raczka. Nikt by nie zliczył, ile serc przebitych strzałą Amora porzucił on na szlaku swych zwycięstw, aż trafił na ognistą – o typie Carmeny – brunetkę, pannę Zenobię Trzask.

Po upływie kilku upojnych miesięcy pan Raczek zatęsknił widocznie do spokojnej, bez wstrząsów i burz, cichej sielanki, bo zwrócił swe afekty w stronę niebieskookiej, złotowłosej blondyny, panny Alfredy Kwiczol.

Okazało się jednak, że nie doceniał walorów płomiennej brunetki, która absolutnie nie chciała zrezygnować ze swych praw do jego serca i wszczęła akcję obronną, jaka zaprowadziła ją wreszcie przed sąd grodzki.

Według słów świadków akcja ta wyglądała, jak następuje:

– Przyleciała, proszę sądu najwyższego, pani Trzask do mieszkania pani Kwiczol, na środku pokoju uklękła i zaznaczyła, że zmuszona będzie rudzielcowi ślepie witrolejem wypalić, o wiele nie otrzyma na ręce pięćdziesiąt złotych.

– Za co?

– Bo tyle właśnie pan Wacław Raczek miał podobnież na pannę Kwiczol wydać. Faktycznie kupił jej maszynkę do siekania mięsa, durszlak, boty, do kina zaprowadził, przy bufecie postawił i kazał jeść, a także samo pić, ile jej dusza zamarzy. Dwa złote dwadzieścia groszy sam bufet uczynił. A wszystkie sprawonki razem kosztowali czterdzieści dziewięć złotych.

Z dalszych zeznań tego świadka wynikało, że panna Trzask zaokrągliła żadaną sumę do złotych pięćdziesięciu, wliczając do rachunku symboliczną złotówkę strat moralnych.

Inny świadek, pan Ekspedyt Rączkowski, właściciel domu, w którym mieszka blondynka, stwierdził, iż słyszał pogroźki miotane pod jej adresem przez brunetkę, będąc na podwórzu, ale wszedł do lokalu, w którym tragedia miłosna się rozgrywała, dopiero wtedy, kiedy doszło do jego uszu, iż płomienooka mścicielka, oprócz pozbawienia wzroku rywal-

ki, obiecuje także obrócić w perzynę jego kamienicę wraz ze wszystkimi lokatorami.

– Jakżem to, prosze sądu najwyższego, usłyszał, wszedłem ma się rozumieć do mieszkania państwa Kwiczol i zobaczyłem te daną osobistość, jak na środku pokoju klęczy i choleruje i zaznacza, że musi mnie dom spalić.

Wtenczas ja do niej mówię grzecznie:

„Dlaczego pani szanowna chce mnie taką krzywdę zrobić, przecież ja jestem osoba postronna i pani szanownej nie nadużyłem?”

A ona nic, tylko że nafty kupi, schody podleje i dom z dymem puści. Dwa tygodnie potem co noc z kubłem wody na schodach siedziałem, żeby w razie czego dom ratować.

Obietnice brunetki były wypowiedziane tonem tak poważnym, że prócz właściciela domu przejęła się także i blondynka. Nie do tego wprowadzie stopnia, by miała zwrócić żądane pieniądze, ale w każdym razie nosiła przez dłuższy czas w skunksowej mufce duszę od żelazka, owiniętą w gazetę.

Te wszystkie względy sprawiły, że sąd widział się zmuszony skazać pannę Zenobię za groźby karalne na miesiąc aresztu z zawieszeniem.

## *Zięć dziwołag*

Niesłychany w dziejach ludzkości wypadek zdarzył się w drugie święto Bożego Narodzenia przy ul. Przemysłowej.

Wypadek ten, dowodzący całkowitego rozprzężenia starych, dobrych obyczajów, godzący w tradycyjną solidarność męską, łączącą teścia z zięciem, miał przebieg następujący.

W domu państwa Józefostwa Gąsiorków odbywała się uczta weselna z okazji zaślubin najstarszej córki pana Józefa z panem Eugeniuszem Fabiszewskim.

Jest rzeczą jasną, że połączenie w jednym dniu dwu takich uroczystości, jak drugie święto i wesele córki, daje szanują-

cemu się mężczyźnie prawo moralne do należytego popicia. Z tego założenia też wychodził pan Józef, spełniając z szybkością karabinu maszynowego niezliczone toasty. Wypił już zdrowie młodej pary, wypił za pomyślność całego towarzystwa i każdego gościa oddzielnie, wznosił puchar na cześć króla Heroda, następnym uczcił choinkę i już nalał sobie, by pozdrowić polskie lasy w ogóle, kiedy małżonka odebrała mu butelkę mówiąc:

– Dosyć tego, stary moczymordo! Jak pod każde drzewko osobno zaczniesz chlać, to mnie wódki dla gości nie starczy.

Pani Gąsiorkowa miała subiektywną rację, niemniej jednak wystąpienie jej obraziło męża, który długo się nie namyślając chwycił ze stołu foremkę nówek na zimno i gruchnął nią swą dozgodną towarzyszkę w ciemię.

Tu nastąpił właśnie nie notowany w dziejach wypadek, o którym wzmiankowaliśmy wyżej. Oto podniósł się z krzesła zięć, pan Fabiszewski, i ująwszy zręcznie za podstawkę choinkę z zapalonymi świeczkami, począł nią karcic pana Józefa raz koło razu. Różnokolorowa parafina z trzaskiem pryskała dokoła, syczał zimny ogień, a odłamki bombek wpadały w talerze gościom, którzy mimo to siedzieli spokojnie, nie chcąc się wtrącać do nieporozumienia rodzinnego.

Gdy jednak zięć zbyt długo znęcał się nad teściem, powstał z powagą najstarszy w towarzystwie pan Teofil Ząbek, ojciec chrzestny panny młodej, zadzwonił nożem w kieliszek i rzekł:

– Szanowne państwo, kum Gąsiorek faktycznie, można powiedzieć, nadużył ankoholu, pijąc pod choinkie.

Ale żeby nawet miał życzenie pod całe puszcze Białowiejskie chromolić, żona nie miała prawa butelki mu odbierać, totyż słusznie zrobił dając jej lekcje małżeńskiego posłuszeństwa. I to było w porządku.

Ale zięć, któren zaczem, jak uczy historia, z teściem trzymać sztame, za teściową cholere strone bierze i choinką



po głowie go grzeje, jest po mojemu wybrykiem natury i nie może być w towarzystwie tolerowanym. Dlatego proszę uprzejmie, żeby każdy wziął, co ma pod ręką, i żebyśmy wspólnymi siłami dali mu przyzwoity okład.

Propozycja została przyjęta gromkim brawem, a wkrótce po tym trzy czwarte biesiadników rozwieziono do szpitali i lecznic prywatnych.

Niektórzy lżej poszkodowani stanęli już przed sądem i w miarę położonych zasług ukarani zostali aresztem od jednego do trzech tygodni.

## *Entuzjasta czystości*

Pan Leon jest entuzjastycznym wyznawcą zasady: czystość to zdrowie. Dlatego też w szczupłym swym mieszkanku na Hożej z wielkim nakładem kosztów zainstalował sobie wannę ogrzewaną gazem i nie ma dnia, żeby sumiennie nie wykorzystał tej inwestycji.

Nic tedy dziwnego, że wróciwszy pewnego razu o świecie z imieniem kolegi, pierwsze chwiejne kroki skierował do łazienki.

Zapalił gaz i już w kilka minut zażywał rozkosznej kąpieli.

„Nic tak nie odświeża jak ciepła wanna”, myślał z przyjemnością, wciągając w nozdrza żywiczną woń rozpuszczonej w wodzie sosnowej gałki.

Nagle wspaniała sjęstę przerwało mu wejście małżonki. Pani Julia stanęła w progu, wytrzeszczyła oczy, załamała ręce, poczerwieniała z gniewu i zawołała:

– Ach ty pijaku, co ty wyprawiasz?!

– Dlaczego pijaku? Dlaczego twierdzisz, że jestem pijany? Czy dlatego... że się kąpie... rano?

Pani Julia twierdzenie swoje opierała prawdopodobnie na tym, że pan K., jakkolwiek sprawnie przygotował sobie

kąpiel, naszykował prześcieradło i płaszcz kąpielowy, pamiętał nawet o sosnowej gałce, zapomniał jednak się rozebrać i siedział w wodzie tak, jak przyszedł z miasta, w palcie z fokowym kołnierzem i w sztywniaku na głowie.

Gdy żona w ostrych słowach wypomniała mu to roztrągnięcie, zirytował się i począł wychodzić z wanny, ociekając wodą jak foka.

Nieszczęście chciało, że postawił nogę na akacjowym mydle, które leżało na posadzce.

Ponieważ obuwie miał mokre, poślizgnął się i wpadł z powrotem do wanny, wzbijając w górę słup wody, którą zachlapał sufit i zamienił łazienkę w istne jezioro. Na dobitkę mydliny tak go zaczęły szczypać w oczy, że nieszczęsny człowiek zerwał się z krzykiem i na oślep wyskoczył z kąpeli. Z powodu szczupłości miejsca wyrznął przede wszystkim głowę w owalne lustro zawieszone nad umywalnią, po czym zerwał półeczkę, zapelnioną artykułami toaletowymi i medykamentami, a następnie trafiwszy znowu na mydło, wyjechał na nim z łazienki jak na łyżwie.

Pędząc z piorunującą szybkością wpadł wprost do swego małżeńskiego łóżka, gdzie zdołała już się ukryć jego małżonka.

Przemoczona w jednej chwili do nitki niewiasta chwyciła z nocnego stolika lampę i poczęła nią tłuc swego dozwodnego towarzysza, który rozwścieczony złapał alabastrowy wazonik i odwzajemnił się jej z taką siłą, że zaszła potrzeba wezwania pogotowia.

Pani Julia wyprowadziła się tegoż dnia do swych rodziców i złożyła skargę do sądu o pobicie.

Epilog tych zajść odbył się wczoraj przed sądem grodzkim, gdzie pani Julia pozwoliła się przeprosić, wiążąc swego męża złożonym przed majestatem prawa przyrzeczeniem, że nie będzie zażywał kąpeli w garderobie zwierzchniej.

## *Dreńcząca zagadka*

Rzadko kto leżąc na tapczanie zastanawiał się, ile kilo włosia mieści się w materacu. Zazwyczaj myśli człowieka, zażywającego takiego mebla, są pochłonięte znacznie mniej prozaicznymi tematami. A jednak zdarzają się umysły wnikliwe, którym najbardziej miłe przeżycia, czy też tęczowe marzenia, nie przesłaniają rzeczywistości, jaka się pod nim znajduje.

Tego rodzaju psyche musi mieć niewątpliwie pan Alfons G., emerytowany urzędnik państwowy, bowiem wypoczywając po obiedzie na swym nowym tapczanie higienicznym zamyślał się ponuro i mawiał:

– Głowę daję, że nie ma go tam więcej niż pięć kilo! Ale jak to zbadać?

Po tygodniu dreńcząca zagadka stała się tak trudna do zniesienia, że pan Alfons pożyczył ze sklepiku wagę, ciężarki, ostrożnie zerwał pokrycie z mebla i przy świadkach skonstatował, że włosie wyjęte z wnętrza ważyło tylko 4 kilo i 25 dekagramów.

Ponieważ tapicer, u którego wytworny sprzęt był zamówiony, zapewniał pana Alfonsa, że umieści w tapczanie ponad 10 kilo najlepszego włosia, oszustwo było oczywiste.

A że pertraktacje polubowne z mistrzem Wacławem P., który mebel wykonał, nie dały pozytywnych rezultatów, pan Alfons kupił osobiście brakującą ilość włosia, wezwał innego mistrza, kazał nim należycie wypchać materac, pana Wacława zaś kropnął do sądu.

Właśnie wczoraj ten niezwykle proces ujrzał światło dzienne w sądzie grodzkim na Nowym Zjeździe.

– Co pana skłoniło do zerwania pokrycia i zważenia włosia? – zapytał sędzia poszkodowanego.

– Przeczucie, wysoki sędzie! I to, że środkowe sprężyny piły mnie w krzyż. Droga wywiadu w odpowiednich magazynach ustaliłem, że przy dziesięciu kilach nie mogłoby to mieć miejsca. Rozprułem zatem pokrycie i przekonałem się, że nie

tylko włosia było mniej, ale też że nie było to włosie końskie, tylko pochodzące z krowich ogonów.

Tu pan Alfons rozpakował posiadane przy sobie zawiątko i zademonstrował sądowi próbki szlachetnego uwłosienia końskiego oraz jego ordynarną, krowią namiastkę, dostarczoną przez tapicera.

Oskarżyciel publiczny spojrział z wyrzutem na pana Wacława, który z zażenowaniem spuścił oczy, a sąd skazał go tymczasowo na miesiąc aresztu oraz poniesienie kosztów uzupełniającego wycpania tapczanu.

Długo wahaliśmy się, czy podać przebieg tego procesu do wiadomości publicznej, czy też przemilczeć go raczej, w obawie, że cała Polska rozpruje swoje tapczany, by zbadać, czy włosie ma przepisową wagę i czy pochodzi prosto od krowy...

Obowiązek sprawozdawcy przemógł. Trudno, stało się. Jednak o tym, co się będzie dziś działo w kraju, lepiej nie myśleć.

## *Czyje dziecko?*

– Sprawiedliwości żądam, proszę najukochańszego sądu, bo sierota jestem, sama jedna na świecie, a te dwie kobiety strasznie mnie skrzywdzili! – skarżyła się w potokach łez panna Waleria Kopytkowska, pełniąca odpowiedzialne obowiązki dyrektorki kuchni mecenasostwa Z.

– W jakiż sposób panią skrzywdzono?

– Ciągłe mnie szkalują! W sklepiku się nie pokaż, u rzeźnika także samo, a w maglu to już zupełnie sensne marzenie.

– Cóż to takiego opowiadają o pani?

– Że dziecko miałam w przeszłym roku z jednym blondynem.

– Czy to prawda? – pyta surowo sędzia, zwracając się do oskarżonych pań Eleonory Kozy i Stefanii Drabarek.